

TADEUSZ KONWICKI

Jubiler



KOMPLEKS POLSKI

Tadeusz Konwicky

KOMPLEKS POLSKI

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-55-6

Copyright © for the text by Maria Konwicka (2022)

Copyright © for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

www.estymator.net.pl

Publikacja elektroniczna na podstawie edycji wydawnictwa Agora, Warszawa (2010),
do której tekst, na podstawie rękopisu i wcześniejszych wydań, opracował
Przemysław Kaniecki

Wydanie I: Niezależna Oficyna Wydawnicza (1977)

Projekt okładki: Olga Bołdok

Stoję w ogonku przed sklepem państwowej firmy „Jubiler” i jestem dwudziesty trzeci. Niedługo kuranty warszawskie oznajmią godzinę jedenastą przed południem. Wtedy szczerką zamki wielkich metalowo-szklanych drzwi i my, zakatarzeni klienci, wtargniemy do wytwornego wnętrza, oczywiście wtargniemy w pełnej dyscyplinie, nie burząc kolejności ogonka utrwalonej przez długie kwadranse czekania.

Jest lekko mroźny dzień wigilijny. Dzień na pograniczu spóźnionej jesieni i spóźnionej zimy. Dzień też jakby spóźniony. Nie rozświetlony do końca, mglisty, ślamazarny. Zabłakane płatki śniegu żeglują w lodowatym powietrzu jak nasiona topoli. Tramwaje zbijają się w stada na tej szerokiej magistrali i dzwonią żałośnie. Znany, powszechnie szanowany żebrak rozsiada się na trotuarze koło salonu jubilerskiego. Wyciągnął przed siebie nogi, rozkraczył je w płyciutkim zwiewnym śniegu i straszy nimi wrażliwych przechodniów. Ale ja wiem, że te plastikowo-niklowe protezy są puste w środku i choćby przymarzły do chodnika, nasz żebrak nie zazna chłodu. Tłumy przechodniów suną nieprzerwanie wzdłuż ścian. Czasem ktoś na kogoś wpadnie i odejdzie bez przeproszenia, zatopiony w swoich myślach. Czasem ktoś kogoś potrafi krzyżakiem choinki i bluzgnie nieprzystojnym słowem, czasem znów ktoś podchmielony stoczy się na jezdnię, ale szybko powstanie i ruszy w drogę. Zwykły, wigilijny dzień.

Ten dzień pełźnie przez niedużą planetę malutkiego Układu Słonecznego. Planeta nazywa się Ziemią, jest jajem skalnym wypełnionym płynną lawą, a pokrytym z wierzchu cienkimi warstwami wody oraz powietrza, czyli lotnej mieszanki tlenu, wodoru, azotu i kilku jeszcze pierwiastków, które kiedyś mogą zagrozić jej istnieniu. Na tej planecie zbiegiem wielu szczęśliwych okoliczności powstało życie na podstawie białka i to życie po milionach lat wykreowało istoty rozumne, które nazywają siebie ludźmi i do których ja, piszący te słowa, mam zaszczyt należeć. Ludzkość, czyli suma rozumnych mieszkańców Ziemi, stworzyła cywilizację, co nam pozwala rozumieć wszechświat, a właściwie nie rozumieć go kompletnie, co pomaga zwalczać stare nieszczęścia ludzkiej egzystencji i co tworzy coraz groźniejsze nowe, co wypuściła człowieka na króciutkie spacerki w kosmos i odebrała mu nadzieję na wielkie podróże do jądra tego kosmosu. Trzeba też dodać informację najistotniejszą: życie na Ziemi podlega dziwnej pulsacji, jej rytm wyznaczają tak niezwykle formy przemiany energii jak narodziny i śmierć, jak dojrzewanie i starzenie się, jak istnienia i nieistnienia.

Jestem zmuszony do tych kilku pobieżnych objaśnień, ponieważ spodziewam się, że jakiś egzemplarz książki, którą mozolnie piszę, trafi do rąk, czulek albo do komputerów innych stworzeń rozumnych, co zjawia się przypadkiem w naszej galaktyce, stworzeń rozumnych z centralnych regionów wszechświata, z eleganckich dzielnic metropolii Pana Boga, istot mądrzejszych i lepszych od nas, szlachetnych nadludzi wymyślonych i wymarzonych przez człowieka. A piszę z takim ambitnym, właściwie nawet niezwykłym zamiarem tylko dlatego, że znudziło mnie już porozumiewanie się z bliźnimi, braćmi mędrcami i idiotami, braćmi prorokami i szubrawcami, braćmi dręczycielami i ofiarami.

Ten dzień wigilijny przynosi nam, Ziemianom, co roku jakąś magiczną nadzieję, budzi w nas dziwne i podniecające przecucie, ożywia w nas tęsknotę za nieznaną praojczyzną. W ten dzień rozpoczynający zimę albo lato urodził się dwa tysiące lat temu pewien człowiek, którego uznaliśmy za Boga, to znaczy za współtwórcę niezrozumiałej budowli wszechświata, człowiek, który, wedle naszych wierzeń, pośredniczy między nami a budzącą grozę tajemniczą nadrzędnością. Tego dnia stoję otulony w ciepły kożuch pod sklepem z wyrobami jubilerskimi nazwanym bez szczególnej finezji „Jubilerem”. Jestem dwudziesty trzeci w ogonku, a za mną przytupuje skostniałymi nogami jeszcze ze dwadzieścia osób. Ja również drzę

leciutko, choć okrywa mnie sute futro baranie. Ale ja drzę z emocji. Drzę w oczekiwaniu tego dnia, tych kilkunastu niezwyklej godzin, które przyniosą – być może – dla mnie i dla nas wszystkich decydujące rozwiązanie.

– Patrz pan, jaki zdrowuch – mamrocze mi w kołnierz kożucha gęstą parą stojący za mną jegomość. Pokazuje załzawionymi od chłodu oczami wystawową szybę.
– Aż grzech patrzeć.

Rzeczywiście przez zakurzone szkło widać zarys kobiecej twarzy. Ciemnowłosa dziewczyna o trochę nieprzyzwoitych ustach patrzy sepiowym spojrzeniem na niewesołą ulicę.

– W sam raz, ale nie dla nas – powiadam melancholijnie.

– A co to, my gorsi od innych?

Spod futrzanej czapeczki u mego rozmówcy sterczą długie, mocno siwe włosy, młodzieżową modą opadając aż na kołnierz granatowej kurtki z pomarańczowymi wypustkami.

– Może i nie gorsi – wzdyham. – Metryka, metryka tylko powoli ekspiruje.

– Ja, panie, czuję się młody.

– Ale jakoś nie uchodzi.

– Pan mnie nie pamięta, a ja pana znam.

– Coś jakbym sobie przypominał.

– Nie męcz się pan. Znam i już. Przyjdzie pora, to opowiem.

Już zaczynam żałować kłopotliwego sąsiedztwa. A pan w futrzanej czapeczce uśmiecha się dwuznacznie. Z jego dłoni zwisa płaska torba skórzana, tak zwana pederastka. Ni to mapnik oficerski, ni to szaszetka z kosmetykami.

– Zapali pan?

– Dziękuję.

– Dziękuję: tak, czy dziękuję: nie?

– Dziękuję: tak.

Przypalamy mozolnie papierosy zerkając na szybę. Dziewczyna ciągle patrzy przed siebie. A tam, na skrzyżowaniu, chmara ludzi przepycha tramwaj w bezpieczniejsze miejsce, bo zabrakło prądu. Nawet dobrze jedzie, aż przybija na złączach szyn jak prawdziwy pociąg.

– Wszystko czytam, co pan napisze – powiada sąsiad z cieniem nieprzyjemnego uśmiechu.

– Może nie warto czytać – bąkam skromny i zażenowany.

– Przyjdzie pora, to opowiem.

Do czoła kolejki zbliża się staruszka w wytartym, cienkim płaszczku. I ona ma na zsiniałych policzkach srebrzyste łyzy wyciśnięte przez przymrozek.

– Ja jestem inwalidka – zaczyna płaczliwie, ale ogonek milczy wzgardliwie. Więc ociera dziurawą rękawiczką łyzy. – Tak mnie nogi bołą, tak bołą, że ledwie chodzę.

Przestępuje z nogi na nogę i rzeczywiście te nogi wyglądają jak dwie wierzbowe kłody. Ale ogonek to ignoruje. Tylko pani w za dużej pelisie, w za dużym kapeluszu i w za dużych kozaczkach rzecz ironicznie:

– Ja też nie jestem już młoda, a stoję w kolejności.

Staruszka ociera łyzy.

– Mąż umarł w zeszłym roku. Sama z dziećmi zostałam. A renta taka mała, że wyżyć nie sposób.

– Ludzie, wpuście panią bez kolejki – odzywa się młody człowiek o wyglądzie studenta, a drugi, pewnie kolega, wielki grubas w rozchełstanej skórzanej wiatrówce, potakuje z aprobatą. Ogonek zwiera się ciśniej; broni dostępu do eleganckich drzwi, spowitych leniwą warszawską rdzą. Stara kobieta pochlipując przesuwając się

nieznacznie w naszą stronę. Zajmuje dobre strategicznie miejsce obok litościwych studentów.

– Pan to wyszedł na ludzi – mruczy sąsiad ogarnięty swoją maniacką myślą. – Kto by się spodziewał.

– Panie, nie ma czego zazdrościć – odpowiadam z przykrością.

– Duszek, poznaj pana Konwickiego – sąsiad kiwa dłonią na swego sąsiada.

Wymieniam uścisk prawicy z facetem odzianym staromodnie z elegancją lat pięćdziesiątych. Pan Duszek liczy sobie koło dwóch metrów wzrostu, a i ręka jego skryłaby z łatwością pięciokilowy odważnik.

– No to i ja się przedstawię. Kojran jestem – uchyla futrzanej czapeczki dotychczas anonimowy sąsiad. – Nic panu moje nazwisko nie mówi – stwierdza bez rozczarowania.

– Coś jakbym skądś pamiętał.

– Pan tak mówi z grzeczności, panie K. – uśmiecha się pobłaźliwie Kojran.

– Dobrze byłoby coś wprowadzić do organizmu – wtrąca pan Duszek.

– Najpierw trzeba oswoić kolejkę. Patrz pan, panie K., ona chyba zasnęła – Kojran fioletowym uchem wskazuje wystawę.

Dziewczyna ciągle jeszcze patrzy na ulicę, choć wznowiono już ruch i tramwaje, znowu w stadach, suną ciężko w stronę Dworca Centralnego.

– Zapadła w letarg. Ja to znam – powiada kaszląc pan Duszek. Wielkie kłęby pary z jego ust lecą ponad głowami ogonka. – Ona ma wyrzuty sumienia.

Na wielkim rondzie przy skrzyżowaniu szerokich ulic śnieżny wiatr miota ogromnym świerkiem przybranym za choinkę. Leśne drzewo szarpie się na wszystkie boki jakby kłaniając się czterem stronom świata, jakby chcąc się urwać z uwięzi, z tej kamiennej niewoli. Czerwone szklane bombki sypią się obficie na tory tramwajowe niczym zmarzniete owoce jarzębiny.

– Mój kolega to Francuz – powiada szeptem student, a ten rudy grubas w rozpiętej kurtce skórzanej chyli uprzejmie głowę.

– Bonjour, monsieur – odklania się Kojran. – Ça va?

– Bardzo dziękuję – rzecze po polsku Francuz z silnym akcentem.

– Co pan tu u nas porabia?

– On jest anarchistą – wyjaśnia student. – Policja już mu deptała po piętach. Uciekł więc do Polski.

– Witamy w naszym pięknym kraju.

Francuz wygłasza krótkie przemówienie w ojczystym języku.

– On mówi – tłumaczy student – że dawniej każdy młody Europejczyk powinien był jechać do Paryża. Dziś jeździ się do Warszawy.

– Wielki to dla nas zaszczyt – kłania się jeszcze raz Kojran, anarchista również składa ceremonialny ukłon.

– Warto strzelić dzioba – wzdycha pan Duszek.

– Przyjdzie pora, to strzelimy. Coś pan tak zdrętwiał, panie K.?

– Niech pan spojrzy: czerwony śnieg pada.

– Jaki tam czerwony. Od neonu nabrał koloru. Na cud pan czeka?

Pod kamienną tablicą, gdzie podczas wojny rozstrzelano pięćdziesięciu zapomnianych ludzi, przygasa i rozpala się od nowa parafinowy znicz w zielonym słoiku.

– Tak, ma pan rację. Czekam na cud.

Jeśliby spojrzeć na naszą chudą konstelację z głębi wszechświata, to poprzez gąszcz Drogi Mlecznej zobaczy się z trudem skromne słońce i osiem czy dziewięć – nie chce mi się sprawdzać w atlasie – a więc osiem czy dziewięć planet, niektóre z

księżycami, kilka małych planet towarzyszących słońcu, tak ważnemu dla nas, a tak obojętnemu dzungli kosmosu. Jedna z tych planet to nasza Ziemia, na której się zdarzył niezrozumiały fenomen życia utopionego w tlenie, a więc w najbardziej piekielnym, zabójczym pierwiastku. Ta Ziemia podobna jest porcelanowej, niebieskozielonej gruszcze, omszałej dmuchniętym kapryśnie pudrem. Ów biały strzępiasty nalot to obłoki, czczone przez poetów, to chmury zapowiadające cyklony i potopy, to straszne jesienne nize, kiedy ludziom pękają serca, kiedy z mgieł wyłazą upiory obezwładniających przeczuć, kiedy życie zastyga w letarg, w coroczną próbę wiecznego snu.

Na tej gruszkowatej Ziemi mrowi się spełniając nakazy natury prawie pięć miliardów istot rozumnych, na pierwszy rzut oka, albo fali elektromagnetycznej, stworów dwunożnych o postawie wyprostnej. W zawiłym procesie ewolucji podzieliliśmy się na wielkie lub mniejsze zgrupowania społeczne zwane narodami, co być może ułatwia nam proces wegetacji. Te wielkie i małe narody nieustannie pożerają się nawzajem w walce o byt, o przetrwanie, o sprostanie prawom ewolucji. Oczywiście absurdem byłoby twierdzić, że małe formacje społeczne pochłaniają wielkie, ale jeśli się weźmie pod uwagę, że te stada zwane narodami puchną i kurczą się raptownie, rozdymają się i tęchną, mnożą się przez pączkowanie i kaleczą przez amputacje – to można powiedzieć, że w ostatecznym rozrachunku pożerają się nawzajem, choć czasem się zdarza, że i zwymiotują niestrawionymi szczątkami sąsiada.

Dziwaczny podział na narody jest źródłem wielu naszych cierpień, bólów, nieszczęść. Im bliższy jest rozpad narodów, jako struktur przestarzałych, hamujących zagadkową i przerażającą ewolucję, tym intensywniejsze zachodzą procesy jonizacji wewnątrz nich, tym wyższe rodzą się temperatury wewnętrzne i zewnętrzne, tym tragiczniejsze stają się zderzenia oraz tarcia tych cząstek zwane przez nas wojnami, rewolucjami albo powstaniami.

Skłonność literatów, spisujących fikcyjne albo prawdziwe perypetie poszczególnych osobników i całych formacji społecznych, a więc skłonność literacka do odrywania się od Ziemi i spoglądania na nią z odległości stratosfery czy przestrzeni międzygwiazdnej, ta maniera jest już wytropiona przez badaczy i nazwana objawem szczególnej dewiacji. Ale i opisywanie fenomenu życia z wysokości kamienia polnego, albo hydrantu w mieście też jest nagannym zboczeniem. Ponieważ w ogóle literatura to nienormalność, transcendencja i zboczenie.

– Patrz pan, panie K., jej już nie ma.

– Kogo? – pytam machinalnie.

– Iwony.

Szyba wystawowa zapociła się, skrywając mroczne wnętrza salonu jubilerskiego.

– Pan ją zna?

– Jeszcze nie – powiada Kojran.

– To skąd pan wie, jak ma na imię?

– Iwona – powtarza z uporem. – Założymy się?

– Nie lubię zakładów.

– Nie lubi pan hazardu?

– Czy ja lubię hazard? Czasem lubię.

– Tylko na całą stawkę?

– Właśnie. Na cały bank.

Wybuch mały niepokój na początku kolejki. Uboga kobieta zręcznie umieszcza się przed studentami. Słysząc łoskot żelaza, brzęk szyb i podniecone krzyki klientów. Kierowniczka salonu otwiera drzwi. Do środka wciska się w karnym ordynku kolejka. Teraz stoimy luksusowo wzdłuż kryształowej lady wypełnionej radzieckimi zegarkami

ręcznymi i enerdownskimi budzikami. Lodowate nasze stopy spoczywają na płytach z czarnego marmuru. Nad nami lśni ogromny ceramiczny żyrandol. Lśni, ale nie płonie elektrycznym światłem, bo nie ma chwilowo prądu. Kierowniczka wynosi z zaplecza dwie świece, przypieczone stearyną do etui po bransoletach chińskich. Wesołe płomyki chybocą już we wszystkich lustrach.

– Jest – szepcze poufnie Kojran.

– Kto?

– Iwona. Tam, koło palmy.

Obok zakurzonego drzewka siedzi na wyściełanym krzeselku – w stylu fałszywe Księstwo Warszawskie – nasza znajoma dziewczyna zza szyby. Czyta książkę z gniewnym znudzeniem. Odkrywam pełen dziwnego niepokoju, że włosy jej są prawie czarne, a i w cerze jest coś kreolskiego, pierwiastek śródziemnomorski emanuje z nieznanej dziewczyny, i to mnie trochę zniechęca. W tych południowych narodach jest jakaś łatwość urody, jakaś pochopność natury i brak powściągliwości.

– Proszę państwa – odzywa się donośnym głosem kierowniczka salonu. A kiedy tak się odzywa, wysoko stapirowane, złote jej włosy podlegają raptownej drżączce. – Proszę państwa, dzisiaj jeszcze nie przywieziono towaru. Może przywiozą za godzinę, a może i przed zamknięciem sklepu. Ostrzegam, żeby nie było reklamacji. Książka skarg i zażaleń jest chwilowo u intrologatora.

Jęk zawodu, gwałtowne zafalowanie ogonka. Dwaj mężczyźni w poplamionych cementem ubraniach roboczych głośno złorzeczą. Baba wiejska z wielkim tłumokiem, okrytym chustą związaną na piersiach, zaczyna płakać.

– Trudno. Poczekamy – dudni nad głowami ludzi pan Duszek.

– Ech te kolejki, kolejki – wzdycha Kojran.

Pani w za dużej pelisie oraz w za dużym kapeluszu odwraca się ku niemu i rzecze z naciskiem:

– W Anglii też są kolejki.

A ja sięgam dłonią za pazuchę, pod gorące wnętrze kożucha, i macam palcami kieszeń marynarki. W porządku, jest gotówka. Pięć tysiączłotowych banknotów.

– Panie K., pan naprawdę wierzy w cuda? – zapytuje Kojran.

– Może to pierwszy objaw starości, ale jakby zaczynam wierzyć.

– Przyjdzie pora, to uzgodnimy. Pani Iwonko, nie szkoda oczu?

Śródziemnomorska dziewczyna unosi głowę znad książki, spogląda wyniośle na Kojrana, który posyła jej całusa dwoma palcami o zmiażdżonych paznokciach. Okazuje się powoli, że w salonie jubilerskim jest nie tylko ciemno, ale i chłodno. Stąd te serdaki ze sztucznego futra na kibiciach ekspedientek. Iwona wraca do książki. Płomyki świec, jak listki jesiennej brzozy, chcą zerwać się z czarnych knotów miotane gwałtownymi przeciągami.

– Chłopcy – powiada Duszek – trzeba huknąć po lornecie, bo dostaniemy pneumonii.

– Przyjdzie pora. Oswajajmy kolejkę.

– Jakby co, to proszę i o mnie pamiętać – kłania się uprzejmie facet cały spowity w dżinsowe płótna i zajmujący pozycję dwudziestą szóstą, a po przyłączeniu się ubogiej starowiny – dwudziestą siódmą. Wygląda on na jakiegoś rozkapryszonego panicza z paryskiego drugstore’a, albo wręcz z Times Square na Manhattanie.

Kojran i Duszek przyjmują jego propozycję z ostentacyjnym chłodem. Potem Duszek szepcze chrapliwym basem:

– Uważajcie, to kapusta.

Nieopodal salonu jubilerskiego zatrzymuje się ciężarówka. Strażnik w waciaku opuszcza klapę. Na chodnik zeskakują więźniowie w takich samych waciakach, tyle że

okrytych pomarańczowymi kamizelkami. Każdy z nich jest uzbrojony w szuflę do śniegu. Ale śniegu jeszcze mało. Może będzie dosyć koło pierwszej gwiazdki.

Łapie mnie raptowny strach. Mam idiotyczną ochotę wyprysnąć na ulicę razem z kryształową szybą wystawy, razem z palechskimi szkatułkami i babami w babach. Lecz sięgam tylko ponownie w zanadrze, gdzie kości mostka zaciska straszny, złowroźbny ból. Rozcieram żebra nad sercem, normuję oddech. Ból jednak nie ustępuje. Ból, który poznałem przed kilku dniami.

– Może to i dobrze byłoby tak od razu, na miejscu, bez apelacji? – pytam sam siebie. – To nie czasy powolnego, mieszczańskiego konania. Dziś nawet sklepikarze, a kto wie, czy i nie ministrowie, dziś wszyscy modlą się o nagłą i niespodziewaną.

Później, uspokojony, słucham z mściwą satysfakcją, jak ten nowo poznany ból zaciska jeszcze bezwzględniej szczęki na spojeniu moich żeber. Kozuch wonieje mumią barana i salonem pralniczym „Alba”.

– Oż wy w mordę lechtani – warczy Kojran – dwadzieścia po jedenastej, a towaru jak nie ma, tak nie ma.

– We Francji też godzinami czekają na towar – powiada sucho pani w za dużej pelisie, w za dużym kapeluszu i w za dużych kozakach. Nawet w uszach ma za duże złote klipsy ze szmaragdami.

– Pani pewnie z dyplomacji – stwierdza Kojran.

– Dlaczego z dyplomacji? – pyta trochę dotknięta pani w za dużej zewnętrznosci.

– No bo taka bywała.

– Ja tylko jestem obiektywna.

– Polak, jak musi czekać, to wpada w złość – rzecze Duszek.

– Włosi są bardziej nerwowi.

– Nie obchodzą mnie Anglicy, Francuzi, Włosi – denerwuje się pan Duszek. – Obchodzą mnie Polacy. Pani rozumie, co mam na myśli?

– Nie będę z panem dyskutować o polityce.

Wiejska baba z tłumokiem przemieściła się niezauważenie w naszą stronę. Korzysta teraz z kłopotliwej ciszy i pyta poufnie:

– Może ktoś z państwa potrzebuje cielęciny? Mam ładną, świeżutką.

– Ale babcia tu nie stała – stwierdza z gniewem Kojran.

– Toż i nie stoję, tylko pytam.

– Pani pokaże tę cielęcinę – wtrąca Duszek.

Baba zaczyna rozsypywać toból. Na marmur posadzki sypią się przemarznięte ziarna zboża.

– Po co ci cielęcina? – pyta Kojran.

– Zobaczymy, pomyślimy, cielęcina to najzdrowsze mięso.

Kierowniczka wychyla się znienacka przez kryształową ladę.

– Pani pozwoli do mnie na zaplecze.

Baba zastyga w niepewności z dwoma udźcami cielęcymi.

– Ale my jesteśmy pierwsi – interweniuje Kojran.

– Starczy, starczy dla wszystkich – uspokaja wieśniaczka i już chyłkiem mknie na zaplecze wabiona przez złotowłosą kierowniczkę. Dziewczyna z książką uniosła głowę, patrzy na mnie tak, jakby mnie naprawdę widziała, jakby myślała o mnie, jakby chciała mi coś powiedzieć. I znowu raptem przenosi wzrok na szybę, za którą przytupują więźniowie oczekujący śniegu, i znowu wraca do książki.

– Wie pan, nie zapamiętałem wieczoru wigilijnego z dzieciństwa, z partyzantki, albo tego powojennego w pustym pokoju w pustej bursie akademickiej, ale zapamiętałem na całe życie taką jedną króciutką chwilę, kiedy zapaliła się pierwsza gwiazda, a ja stałem w oknie patrząc na drogę jak kanion śniegowy, na ogromne zbocza rozległych wzgórz okryte grubo ponową, na białą ścianę lasu u szczytu tych

wzgórz, na granatowiejącą niebieskość nieba, na całą tę wigilijną wigilijność, w której zamiera wszelkie użyteczne życie, w której odzywa się delikatne życie intymności ludzkiej, więc patrząc na tę łagodną bajkę wymyśloną przez Boga i ludzi spostrzegłem nagle samotnego człowieka, co szedł zgarbiony śnieżną drogą w tej osobliwej chwili, szedł sam jeden na świecie przez opustoszały świat wigilijny i w tym jego osamotnionym ruchu tyle było wieloznacznej grozy, tyle tajemniczego nieszczęścia, tyle zuchwałego wyzwania wobec odwiecznej tradycji, że ten widok brnącego przez kopki śnieg człowieka w godzinę wigilijnego zmierzchu zostanie mi na zawsze w pamięci, choć tymczasem rozbito atom, zwyrodniono geny i wylądowano na Księżycu.

– A gdzie pan widział tego człowieka?

– W Kolonii Wileńskiej. Przed wojną. Bo tylko u nas bywała prawdziwa wigilia.

– Panie K., pan chyba nawet coś pisał o nocy wigilijnej?

– To nie ja. To Dickens.

Duszek puścił wielki kłab pary z sinych ust.

– Chłopcy, błagam, najwyższa pora zamoczyć wigilijną rybkę.

– Tak, przyszła pora – stwierdził beznamyślnie Kojran.

Na ulicy duł lodowaty wiatr, wiatr rodzący się z różnicy ciśnień w atmosferze ziemskiej. Nisko nad dachami domów leciały rzadkie, brudne obłoki. Za nimi było jasnoniebieskie, połyskliwe niebo, ale my wiedzieliśmy, że to niebo jest tylko śmietnikiem, w którym wichur słoneczny gania tabuny zardzewiałych sputników, niedojedzonych konserw i zamrożonych na wieczność czyichś kości.

Skreślamy w stronę eleganckiej restauracji, chcę ująć za klamkę szklanych drzwi, pękniętych na całej długości, ale Kojran powstrzymuje mnie bez słowa. Wchodzimy do mrocznej klatki schodowej jakby na zapleczu tego lokalu gastronomicznego. Bez zdziwienia poznaję odór moczu tak charakterystyczny dla naszych sieni. Wspinamy się niewysoko, bo na pierwsze piętro. Duszek dzwoni trzy razy dzwonkiem elektrycznym, pod którym zostały ślady kilku warstw biletów wizytowych.

Ktoś uchyla drzwi. Słychać brzękliwy głos telewizora.

– Chcemy złożyć życzenia świąteczne, dziadku – powiada Duszek.

Niedołężny staruszek wsparty na dwóch laskach wpuszcza nas do mieszkania. Zdejmując kozuch sprawdzam, czy nie zgubiłem pieniędzy. Są i szeleszczą smakowicie w nagrzanym kieszeni.

Staruszek wyrzuca straszliwie obie nogi na wszystkie strony, ratuje się przed upadkiem rozpaczliwą manipulacją lasek, mozolnie prowadzi nas do niedużego pokoju. A tu ciepło, zaciszenie, telewizor miga wesoło zakłóceniami. Siadamy na wytartej wersalce przy stole okrytym nicianą serwetą. Ze ścian patrzą powiększone fotografie, powiększone i wyretuszowane fizjonomie. Może tego ułomnego staruszka oraz jego nieżyjącej żony, a może nieznanych, dawno umarłych ludzi jak modele Michała Anioła czy Velázquez. W kącie widzę kilka zmurszałych stojaków z rozłożonymi nutami.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI